Kwiecień – Maj 2022

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

264

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE”

WALNE ZEBRANIE

Mijająca kadencja Rady Koła została skrócona tak, by po dwóch Walnych Zebraniach odbywających się z powodu ograniczeń covidowych jesienią, powrócić do normalnego wiosennego terminu.

Aby umożliwić taką zmianę, Rada – co chyba zdarzyło się po raz pierwszy w historii Koła – podała się do dymisji.

Poza tym wszystko odbyło się zgodnie z planem. Były sprawozdania z działalności Rady i Komisji Rewizyjnej oraz głosowanie nad absolutorium.

Pewne obawy i wątpliwości budziły czerwone kartki do głosowania, gdyż zauważono, że niektóre mają pieczątki, a niektóre nie. Niektóre – zarówno te z pieczątkami, jak i bez – posiadały pojedyncze lub podwójne dziurki, inne ich nie posiadały. Mimo tych różnic wszystkie kartki mandatowe były jednak ważne.

Lista kandydatów na Prezesa i członków nowej Rady była tradycyjnie przygotowana. Kandydatów do Komisji Rewizyjnej – również tradycyjnie – zgłaszano na bieżąco. Ewenementem było samozgłoszenie do Komisji Rewizyjnej Bartka „kruczka” Cisowskiego.

W wyniku głosowania prezesem SKPG „Harnasie” na najbliższą kadencję został Jan Pizoń (blacha nr 360). Skład Rady i Komisji podajemy na końcu relacji.

Po głosowaniu były tradycyjne pączki, a potem rozgorzała dyskusja nad propozycją zmiany Statutu Koła wprowadzającą nowy status tzw. „członka wspierającego”. Propozycja ta była już wstępnie zgłaszana i omawiana na poprzednim Walnym oraz dyskutowana na kołowym forum. Teraz Marysia Orzechowska-Maćkowiak przedstawiła konkretne propozycje zmian w zapisach statutu. Po dyskusji nastąpiło głosowanie. Projekt, mimo że usyskał zwykłą większość głosów, nie uzyskał jednak wymaganej do zmiany statutu 2/3 głosów „za”.

Skład Rady w kadencji 2022/23:
Prezes – Jan Pizoń
Wiceprezes – Iza Dyrlaga
Sekretarz – Ewa Szabelska
Skarbnik – Asia Kureczko-Skowronek

Członkowie Rady:
– Piotr Ścigała
– Kamil Ziętek
– Sebastian Lenartowicz

Komisja Rewizyjna:
– Bartłomiej „kruczek” Cisowski
– Michał Wieczorek
– Jacek Przyłucki

Komisja Szkoleniowa:
– Izabela Dyrlaga – przewodnicząca
– Paweł Pękacz
– Jacek Przyłucki
– Dariusz Paździorek
– Zbigniew Drapała

Komisja promocji:
– Marta Przybyłowska
– Kinga Konieczny-Pizoń
– Kamil Ziętek
– Piotr Ścigała

Redakcja

Część Rady Koła: Ewa, Sebastian, Jasiek, Iza, Piotr

PRZEJŚCIE KONDYCYJNE kurs 2021/23

21–23.01.2022

Spotykamy się w pociągu relacji Gliwice – Zwardoń, humory dopisują, choć roztapiamy się pod wpływem temperatury – najwyraźniej przewoźnik w gratisie zapewnia gorącą atmosferę. Padają też pierwsze typy odnośnie do przebiegu trasy, ale prowadzący: Jacek i Seba są przebiegli i decydują się na opuszczenie pociągu już na stacji Radziechowy-Wieprz. Kierujemy się w kierunku Grojca. Trasa nie jest łatwa, padający śnieg zasłania oznaczenie szlaku, a podejścia zamieniają się w rynnę zjazdową. Wdrapujemy się na szlak, zmęczeni i nieświadomi, że znajdujemy się tuż przy szczycie.

Potem wędrujemy w stronę Trzebini całkiem poza szlakiem, więc idziemy sobie przez te krzaki, potem przez rzekę i znów chaszczujemy. Jak na złość gorzej robi się, gdy wychodzimy na łąkę. Wygląda to jak na pustyni, tyle że w nocy i w padającym prosto w twarz śniegu (zima, zima, zima, pada, pada śnieg – to zdecydowanie nie ten klimat), a ukształtowanie terenu wcale nie pomaga się odnaleźć. Ktoś woła, że widzi znak, który pomoże nam wrócić na drogę. Więc wyobraź sobie znak, w dodatku oznaczenie do 3,5 tony, więc nie byle jaką drogę, w środku szczerego pola, gdzie śniegu po kolana. Tak, teraz już na pewno wiemy, dokąd pójść. Ciekawe tylko, jak ta trasa wygląda latem.

Jest grubo po północy, docieramy na przystanek, gdzie raczymy się ziołowymi naparami i innymi specyfikami domowej roboty. Następny prowadzący dostaje za zadanie poprowadzić nas na Wójtowski Wierch – brzmi jak łatwizna. Zerkam na mapę, szlak też niemalże prosty, a jednak podejście dłuży się w nieskończoność. Po drodze dzielimy się wskazówkami, co zrobić na okoliczność połamanego szefa Jacka, spotkanego gdzieś w górach. Pada jedyna słuszna odpowiedź: dobić.

Fot. Ola Pilorz

Po drodze Darek rozświetla drogę pochodniami, nie pamiętam, czy zdobywamy szczyt, za to gdzieś po drodze na bank gubimy szlak, bo znów kręcimy się w kółko po gęstwinie lasu. Wracamy. Testujemy trzy z dwóch możliwych dróg. Powoli kończą się pomysły. Chociaż, w gruncie rzeczy bawię się świetnie, ciemno i cicho wkoło, idę na zamku, szuram butami po śniegu, a jego drobinki mienią się w blasku księżyca. OK, znów zawracamy.

Zaczyna świtać, na przystanku na przełęczy u Poloka urządzamy sobie śniadanie. Nasze plecaki budzą zainteresowanie okolicznych psów, ktoś traci kiełbasę, herbata już wystygła, ale dobre i to. Potem znów drogą pod górę na Waligórkę. Aby zwalczyć sen, po drodze urządzamy sobie bitwę na śnieżki.

Schodzimy do wioski i kierujemy się w stronę Jeleśni. Karczma! Tak, tego nam wszystkim trzeba. Od razu czuję, że idziemy jakby szybciej, choć trasa prowadzi szosą i jest bardzo nużąca. Przekraczam próg drzwi, uderza przyjemne ciepełko, obiad, ciężkie powieki same opadają, może jeszcze kawka? Mija mnie samochód. Yyy, zaraz, zaraz, lekko zszokowana, ale ja wciąż maszeruję tylko z zamkniętymi oczami! Jeszcze tylko kilka kilometrów tym asfaltem i docieramy na miejsce, wpadamy w szał zamawiania: piwo, kawa, zupa, danie główne, może jeszcze herbata? W karczmie spędzamy

cd. str. 2

grubo ponad 3 godziny, a kiedy wreszcie udajemy się na przystanek, Pan Busiarz decyduje, że nie będzie kursował.

Nie pozostaje nic innego, jak znów udać się drogą w kierunku stacji PKP, ale i tam nie mamy szczęścia. Podejście na przełęcz Hucisko to już istna walka z samym sobą, a na Adamy jeszcze tak daleko. Zaczynam odczuwać brak snu, zimno i stopy, ale potem przypominam sobie historię o pociągu bez hamulców z kruczkiem w tle. I znów przystanek. Każdy wyciąga, co ma w plecaku, kabanos zagryziony kalarepą i żelkiem smakuje najlepiej. Zaczyna mi się podobać ta gastroturystyka. Potem jeszcze robimy użytek z butli gazowej, bo Bercik przygotował autorski butter chicken. Pyszka! I znów wędrujemy, jeszcze tylko uroczyste odliczanie i wybija 24. godzina marszu. Przesuwam moje własne granice, myślę sobie, że mogę tak dalej iść i iść, tylko czuję, że mazidło w oczach się kończy. Rozkminy nie trwają długo, bo oto nadjeżdża Klerykowóz. No nareszcie! Jesteśmy uratowani!

Celem wyprawy okazuje się SSM w Suchej Beskidzkiej. W środku Maks, jak na ojca przystało, serwuje obiad i piwo (czuję, że Noszak stanie się piwem przewodnim wyjazdów). Zmęczeni, ale niesamowicie dumni z siebie, świętujemy do rana, żeby zaśpiewać „Czwarta nad ranem”.

PS Wszystko super tylko po co ten krem SPF Bercika?!

Anna Biela

NASZA SŁOWENIA, sLOVEnia, SLOWenia

Część 2

Noc i cały następny dzień były deszczowo-burzowe, więc spędziliśmy je w namiocie na odpoczynku, czytaniu książek, spaniu i jedzeniu. W kolejnym dniu udaliśmy się po raz kolejny zwiedzić Ljubljanę. Wybraliśmy wariant kolejowy i za 2 euro od osoby i 40 minut drogi z Kamnika znaleźliśmy się na dworcu w Ljubljanie. Po wyjściu z budynku dworca, na poboczu płatnego parkingu znaleźliśmy zwrot za podróż – piękne, lśniące dwie dwueurowe monety. Szkoda, że wracając na dworzec, nie znaleźliśmy kolejnych – byłoby na bilet powrotny. Uszczęśliwieni, od razu skierowaliśmy swoje kroki ku ulicy Metelkovej – niezależnemu centrum artystyczno-kulturalnemu, które znajduje się w obiektach dawnych, opuszczonych koszar armii jugosłowiańskiej. Miejsce jest bardzo kolorowe, upstrzone muralami, mozaikami, rzeźbami i instalacjami artystycznymi. Jest też obszarem niekoniecznie dającym zwiedzającemu poczucie bezpieczeństwa. Odwiedziliśmy Metelkovą już drugi raz, ale tym razem zrobiła na nas mniej pozytywne wrażenie i dość szybko ją opuściliśmy. Niedaleko niej znajdują się tereny Muzeum Sztuki Współczesnej, które przecięliśmy w drodze ku Ljubljanicy – rzeki przepływającej przez stolicę Słowenii. Nogi poniosły nas w odrobinę odwrotną stronę – moja orientacja w terenie miejskim jest żenująco niepoprawna, a skoro tak, to trzeba w góry – albo na wzgórze zamkowe – stamtąd będzie widać więcej. Na wzgórze wstąpiliśmy od południowego wschodu, mijając winniczkę, zerkając na kapliczkę, Plečnikove Šance – przebudowane pozostałości po warownych umocnieniach wzgórza, pomnik powstań chłopskich i oczywiście sam zamek, który obeszliśmy dookoła, w kierunku przeciwnym niż trzy lata wcześniej. Widok z zamku oferuje panoramę czerwonych dachów starej Ljubljany, wieże kościołów i nieco dalej położone zabudowania ery socjalistycznej oraz budynki całkowicie nowoczesne. Słowenia jest krajem niewielkim i górzystym, a w związku z tym ze wzgórza zamkowego widać wiele grup górskich – Alpy Julijskie i Kamnicko-Savinjskie, Karavanki, Pohorje, góry Škofjeloško-Cerkljanskie, góry Posavskie i góry Dynarskie – jednym słowem prawie wszystkie góry kraju. Z zamku zeszliśmy na Vodnikov trg, wiedząc, że dobrze będzie zacząć zwiedzanie starówki od zakupienia i zjedzenia fig oraz arbuza na tym największym targu owocowo-warzywnym Ljubljany. Następnym punktem był Pogačarjev trg, od którego Kinga resztę miasta zwiedzała z dużym, żółtym słonecznikiem. Skierowaliśmy się wzdłuż głównej ulicy przez Mestni trg, odwiedzając galerię w ratuszu, przez Stari trg aż na Gornji trg, gdzie zawróciliśmy i wzdłuż rzeki ruszyliśmy do jednego z najbardziej charakterystycznych, najczęściej odwiedzanych punktów Ljubljany – Potrójnego mostu, znajdującego się przy placu Prešerena. Bierze on swoją nazwę od nazwiska najwybitniejszego słoweńskiego poety France Prešerena. Na placu znajduje się instalacja imitująca padający deszcz – miły akcent w gorące, letnie popołudnia. Czas było już powoli wracać na pociąg, ale jeszcze jeden adres na mapie Ljubljany musiał zostać zaliczony – ulica Miklošičeva 30. Tam znajduje się fastfood oferujący burki ze świetnymi nadzieniami z twarogu, mięsa, fasoli i szpinaku. Pan sprzedający je pyta każdego, skąd jest i pozdrawia go w jego języku – my też usłyszeliśmy „dzen dobri”. Po konsumpcji, na ławce w parku, za przystankiem autobusowym wróciliśmy pociągiem do Kamnika.

Ljubljana

Kamnik jest położony około 40 kilometrów na północ od Ljubljany, u ujścia Nevljicy do Kamniškej Bistricy i zarazem u wylotu jej doliny. Został naszą bazą wypadową na kolejny tydzień z okładem. Nad miastem wznoszą się pierwsze szczyty Alp Kamnicko-Savinjskich. Jeden z nich to Kamniški Vrh, nazwany przez nas dinozaurem, ponieważ przypomina ogon tego wielkiego gada. Zauważyliśmy go już podczas poprzedniej wizyty – najpierw z doliny, potem ze szczytu Kržišče. Jest to góra o niezbyt imponującej jak na alpejskie standardy wysokości 1259 m n.p.m., stoki ma trawiaste, ale bardzo strome. Gdzieniegdzie wystają z nich wapienne skałki. Wejście na przełęcz prowadzi najpierw łagodnie wśród pastwisk, a następnie skrajem ostrego i kruchego żlebu. Wierzchołek jest zalesiony, ale późniejsze przejście grzbietem przez Planjavę w stronę zachodnią otwiera widoki na południe. Widać Kamnik, Ljubljanę i okoliczne pasma górskie. Niestety północna część góry jest zalesiona i widoki na najwyższe partie Alp są bardzo fragmentaryczne. Na szczycie Planjavy zrobiliśmy przerwę na drugie śniadanie. Mogliśmy tam obserwować paralotniarza przygotowującego się do lotu. Nie mieliśmy jednak tyle cierpliwości co on i poszliśmy dalej, zanim wystartował. Widok plątaniny cieniutkich sznureczków, które musiały być skrupulatnie rozłożone i sprawdzone, po czym pomieszane, poukładane, rozłożone oraz sprawdzone jeszcze raz, zostanie z nami długo. W drodze powrotnej, po raz kolejny otworzył się nam widok na górę, jednak pana paralotniarza tam nie było. Nie wiemy, czy poleciał. Może też stracił cierpliwość? Podczas zejścia trzeba przekroczyć dwa żleby, ubezpieczone deskami i stalową linką. Linka mogłaby być pociągnięta kilka metrów dalej, bo nie ubezpieczała najwrażliwszego fragmentu. Dalsza część zejścia prowadzi po łagodnych pastwiskach.

Podczas naszego drugiego wyjazdu do Słowenii zdobyliśmy w deszczowej aurze Lepenatkę. Szczyt ten jest łagodny, odkryty, zamieszkały przez krowy (i jednego agresywnego byka) oraz bardzo widokowy, czego nie mieliśmy okazji wtedy docenić w wystarczającym stopniu. Dziesiąty dzień tegorocznych wakacji miał nam pozwolić na delektowanie się tymi widokami. Zdecydowaliśmy się na tę wycieczkę mimo wizji szarżującej bestii na podszczytowej grani. Postanowiliśmy zdobyć szczyt inną drogą, a wcześniej wdrapać się na Rogatec – szczyt, który przed dwoma laty nieśmiało tylko wyłaniał się zza mgły. Przejście rozpoczęliśmy przy cerkwi św. Lenarta, znajdującej się na wschodnich zboczach Lepenatki, ok. 950 m n.p.m. Cerkiew jest niewielka, murowana i oddalona od siedzib ludzkich. Przy świątyni płynie potok, z którego można nabrać wody. Cierpliwie zdobywaliśmy wysokość, idąc serpentynami starej, dawno nieużywanej drogi leśnej, zarośniętej już nieco trawą. Drogą, którą według pewnych śladów dosyć regularnie chadzają krowy. W ten sposób doszliśmy na ścieżkę biegnącą po poziomicy 1200 m n.p.m., a nią dalej w stronę północną. W miejscu, w którym droga zaczyna schodzić ku przełączce, my skręciliśmy za znakami szlaku ostro w lewo i mocno pod górę, krótkim, jednokilometrowym podejściem zdobywaliśmy kolejne 350 metrów przewyższenia. Po swoich śladach zeszliśmy do drogi płajowej. W drugą stronę, co prawda, także biegnie szlak, ale jest już stromy i przewyższający nasze możliwości. Drogą podeszliśmy pod przełęcz między Rogatcem i Lepenatką, dalej na samą przełęcz, skąd łagodnym podejściem zdobyliśmy szczyt Lepenatki od północy. Na górze krów nie odnotowaliśmy, co jednak nadrobiliśmy, schodząc ramieniem wschodnim, na którym spotkaliśmy ich stado, odpoczywające na wypłaszczonym pastwisku. Większa część tej ścieżki prowadzi skrajem lasu i łąk, aby pod koniec wprowadzić nas między drzewa. W lesie szlak skręca na pół-

cd. str. 3

noc i stromo schodzi do cerkwi.

Kolejny dzień chcieliśmy poświęcić na nowy kawałek Alp, trochę bardziej oddalony od Kamnika. Naszym celem był Srednji Vrh, położony w zachodniej części Alp Kamnicko-Savinjskich. Eryk zaparkowany został tym razem dość nisko, bo na wysokości niewiele ponad 600 m n.p.m. Podejście na Javorov Vrh miało ponad 800 metrów. Mniej więcej w jednej trzeciej drogi znajduje się schronisko Dom Čemšenik. Niepostrzeżenie, w trakcie marszu minął nas biegający Słoweniec w wieku około 70 lat. Już wcześniej mieliśmy podejrzenia, że naród ten jest bardzo wyćwiczony i sprawny fizycznie, a ten pan tylko nas w tym utwierdził. Chyba konieczność częstego pokonywania dużych różnic wysokości im w tym pomaga. My, swoim wolniejszym tempem, szliśmy jednak wytrwale dalej, minęliśmy pana pijącego kawę przy schronisku i podążyliśmy w górę. Kolejne 300 metrów w pionie zawiodło nas na przełęcz, a kolejne 200 na szczyt Javorov Vrhu. Ścieżka biegnąca grzbietem na północny zachód zaprowadziła nas na kolejną przełęcz, z której znów podchodziliśmy w górę. Nie czując się jednak tego dnia na siłach, zawróciliśmy, przetrawersowaliśmy Javorov Vrh, odpoczęliśmy przy źródle i poszliśmy z powrotem. Zamiast iść całkowicie po swoich śladach, weszliśmy na Babę i dopiero z niej zeszliśmy stromym zejściem najpierw do schroniska, a potem do Eryka.

Jamnik

Staramy się każdą kolejną wycieczkę odbyć w nowe miejsce, przejść innym szlakiem, zobaczyć i poznać coś, czego jeszcze nie widzieliśmy. Mimo że w Słowenii spędziliśmy już trochę czasu, z czego najwięcej właśnie w rejonie Alp Kamnicko-Savinjskich, to takich miejsc jest tu jeszcze sporo. Czasami jednak poznaje się takie miejsca, do których będzie się chciało wrócić, choćby z powodu lepszej pogody. Dla nas takim miejscem jest Vrh Korena, mierząca 1999 metrów wraz z siostrzanymi, niewiele niższymi Košutną i Kompotelą. Dwa lata temu byliśmy też na sąsiednim Velikim Zvohu, Krvavcu i Kržišču. Stamtąd mieliśmy namiastkę widoków, jakie mogą nas czekać z Kompoteli. Dzień później, ruszając z Planiny Jezerce (zostawiając Czesia na jednym z nielicznych płatnych parkingów, na jakich przyszło nam parkować w Słowenii) i idąc przez Krišką Planinę, trawersując Krvavec i Veliki Zvoh do Planiny Koren, udaliśmy się następnie w górę przez Planinę Košutną na interesujące nas wierzchołki. Szczyty zostały zdobyte, choć Kompotelę musieliśmy zaliczyć zaocznie ze względu na zajmującą wierzchołek krowę. Niestety tego dnia, który zaczął się całkiem ładnie, niski poziom chmur nie pozwolił nam cieszyć się widokiem, który obejmuje głównie znajdujący się na północy, tuż za doliną grzbiet łączący najwyższe szczyty i bardzo stromo opadający ku dolinie Kamniškej Bistricy. Dodatkową atrakcją, która wtedy pomogła nam iść szybciej, były pojedyncze pomruki burzy. Spowalniał nas za to deszcz. Przemoknięci, zmarznięci, odpoczywając chwilę w kotle między górami, obiecaliśmy sobie tu wrócić. W ten sposób pokonaliśmy tę samą trasę co wcześniej. Warunki pogodowe były jednak skrajnie odmienne. Prawie bezchmurne niebo, niezbyt wysoka temperatura i świetna widoczność sprawiły, że wędrowało się bardzo przyjemnie. Na Planinę Koren dociera się, pokonując niewielką różnicę wysokości. Potem trzeba się odrobinę wspiąć na jej sąsiadkę. Miejscami szlak ubezpieczony jest kilkoma klamrami i liną. Nie sprawia jednak większej trudności. Na Planinie Košutna znajduje się pasterska chata i drewniana kapliczka z dzwonnicą. Powyżej teren się wypłaszcza i pozwala powoli zdobyć szczyt Košutna. Już tu widoki są niesamowite, ale najlepsze było jeszcze przed nami. Połogimi stokami, przez szeroką przełęcz dotarliśmy na Kompotelę, na której zatrzymaliśmy się na dłuższą chwilę, aby nacieszyć się pięknym widokiem. Dalej, również nie tracąc wiele wysokości, skierowaliśmy się na Vrh Korenę. Stamtąd panormama jest podobnie niezwykła. Poza najwyższymi, skalistymi i urwistymi partiami Alp Kamnicko-Savinjskich, dostrzegliśmy również odwiedzone w poprzednich latach i te zaledwie przed kilkoma dniami: Veliką Planinę, Lepenatkę z Rogatcem, Vivodnik, niedoszły Srednji Vrh i wyłaniający się zza niego Storžič o charakterystycznym kształcie, którego można się łatwo domyślić. Ze szczytu rozciąga się także widok na znajdujący za doliną Kamniškej Bistricy, Rzenik (przez długi czas błędnie przez nas nazywany Rzeźnikiem), sąsiadujący z Veliką Planiną szczyt, z którego widok musi być tak samo wspaniały. Wpisaliśmy go na listę marzeń i wśród krów, kosodrzewiny, wysokogórskich łąk, dwóch koni i całkiem sporej ilości turystów zeszliśmy na Planinę Koren i z powrotem do Eryka.

Trzynasty dzień wakacji spędziliśmy, odpoczywając zasłużenie podczas deszczowego dnia. Słodkie leniuchowanie z lekkim stresem, czy namiot nie przemoknie od dołu, bo to, że mimo podklejenia szwów, przemaka od góry, jest pewne – dlatego zrobiłem mu jarmułkę zabezpieczającą górny zbieg szwów. Czytanie książek, jedzenie obiadu o normalnej porze, drzemanie – taki był ten dzień. Największy wysiłek? Wyjście do toalety. Nie dalej niż 50 metrów. Po płaskim.

Część 3.1

Północna Słowenia jest niewątpliwie pięknym miejscem, ale spędziliśmy tu już jakiś czas i potrzebowaliśmy odrobiny odmiany. W planie mieliśmy odwiedzenie również centralnej i południowej części tego kraju, przyszedł więc czas na dzień samochodowy. Paradoksalnie, aby pojechać na południe, wyruszyliśmy z Kamnika w kierunku północno-zachodnim. Chcieliśmy zwiedzić niewielkie miasteczko – położoną prawie u stóp Alp Julijskich – Radovljicę. Niestety, jak się okazało, przyjechaliśmy tu kilka dni po dorocznym festiwalu czekolady i dane nam było zobaczyć tylko drewnianą ławkę w kształcie tabliczki tego smakołyku. Obeszliśmy starówkę, obejrzeliśmy kościół, główną ulicę i małomiasteczkową zabudowę z wąskimi bocznymi uliczkami. Z tarasu znajdującego się na murach miejskich popatrzyliśmy na kryjące się w pojedynczych chmurach Karavanki. Następnym punktem programu była Kropa – wioska położona w głębokiej dolinie Kroparicy, otoczona kilkusetmetrowymi zboczami gór, formującymi się w kształt amfiteatru. Miasteczko znane jest z tradycji kowalstwa artystycznego. Zakłady metalowe pozyskiwały rudę z pobliskiego masywu Jelovici, a zasilane były siłą płynącej wody. Zaparkowawszy przy sklepie, zrobiliśmy krótki spacer wzdłuż potoku, chcąc przez chwilę poczuć atmosferę spokojnego miasteczka o starej, kuźniczej architekturze. Następnym przystankiem na naszej drodze była góra Jamnik, która znajdowała się jedynie kilka kilometrów na południe od Kropy. Aby tam dotrzeć, trzeba było pokonać kilkanaście serpentyn i około 400 metrów w górę. Wzniesienie to jest w zasadzie niewybitnym ramieniem odchodzącym od głównego masywu Jelovicy. To, co czyni je ciekawym, to kościół, który znajduje się na jego szczycie. Słowenia posiada wiele kościołów położonych w trudno dostępnych miejscach. Służyły one w dawnych czasach obronie i schronieniu dla okolicznej ludności. Ten jednak prezentuje się na ich tle wyjątkowo. Świątynia jest niezwykle malowniczo położona i stanowi popularne wśród fotografów miejsce. Spod kościoła rozciąga się widok na Karavanki, zachodnią część Alp Kamnicko-Savinjskich i góry Škofjeloško-Cerkljanskie. Zobaczyliśmy nawet Lubnik, położony nad Škofji Loką, będący celem naszej wycieczki dwa lata wcześniej. Na obiad zatrzymaliśmy się pod pomnikiem upamiętniającym bitwę słoweńskich partyzantów z nazistami, która miała miejsce zimą 1942 roku. Nasza dalsza droga wiodła przez miasteczko Železniki i przełęcz Tuškov Grič do wsi Dolenji Novaki. Tam zatrzymaliśmy się, aby zwiedzić szpital partyzancki, położony w głębokim górskim wąwozie, znany pod słoweńską nazwą partizanska bolnica Franja. Całe miejsce robi ogromne wrażenie, a najbardziej dojście do niego. Odczucia są tym większe, że kiedy idąc kilkaset metrów zabezpieczoną, ucywilizowaną i wygodną ścieżką, wyobrażamy sobie, jak po śliskich, stromych skałach prowadzono rannych z zawiązanymi dla bezpieczeństwa oczami lub niesiono ich na noszach. Zabudowania szpitalne obejmują oczywiście izby i bunkry dla pacjentów, ale także wszystko czego taki obiekt potrzebuje do funkcjonowania – kuchnię, pralnię, warsztat, łaźnię, składy i magazyny, salę operacyjną, własną elektrownię wodną i aparat rentgenowski. Szpital znajduje się w oryginalnym miejscu, ale niestety w 2007 roku został niemal całkowicie zniszczony przez powódź. Sprzed kataklizmu zachowały się jedynie dwa baraki . Kilka lat później kompleks został odbudowany i ponownie udostępniony zwiedzającym. Niestety cały oryginalny sprzęt i wyposażenie zostały zniszczone, a w tej chwili znajdują się tam repliki, co znacznie utrudnia starania o wpisanie tego miejsca na Światową Listę Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Po południu dotarliśmy do miejsca noclegowego – bardzo przyjemnego, spokojnego, malutkiego i rodzinnego kempingu w wioseczce Zakriž, nad Cerk-

cd. str. 4

nem. Zostaliśmy przyjęci bardzo miło. Dostaliśmy winogrona i pomidory oraz informację o powojennych umocnieniach w pobliskiej górze, które odwiedziliśmy dwa dni później.

Rzenik

Następny dzień przywitał nas ładną pogodą i dosyć niską temperaturą. Sporo chmur przewijało się po niebie, zasłaniając widoki, ale prognozy były optymistyczne. Do wyboru mieliśmy jeden z dwóch szczytów – Porezen, będący najwyższym szczytem gór Škofjeloško-Cerkljanskich, lub niewiele mu ustępujący Blegoš. Wybór padł na pierwszy z nich, drugi zostawiliśmy na kolejny dzień. Najpierw wjechaliśmy z powrotem na przełęcz Tuškov Grič, skąd przejechaliśmy jeszcze mniej więcej dwa kilometry na zachód. Zostawiwszy Eryka na malutkim parkingu, poszliśmy fragmentem europejskiego szlaku długodystansowego E7 pod szczyt Medrce, wcześniej trawersując Črtov rob, Kopę i Držetinę. Wyższe partie gór pozostawały skryte w chmurach. Na szczycie Medrce znaleźliśmy bunkier – pierwszy ślad Wału Alpejskiego na naszej drodze. Był to niewielki obiekt, posiadający zaledwie dwa otwory strzelnicze i mogący pomieścić najwyżej dwie osoby. Ponieważ niebo zaczęło się przecierać, zobaczyliśmy po raz pierwszy cel wycieczki. Okazało się, że jeszcze kawałek do przejścia mamy, i to sporo pod górę. Na mapie wyglądało niewinnie. Ruszyliśmy najpierw na płytką przełączkę, a potem pod górę, mijając krowy. Później, idąc wzdłuż ogrodzenia pastwiska, dotarliśmy na szczyt. Pogoda na szczęście poprawiła się znacząco i z góry rozciągały się piękne, choć niezbyt dalekie widoki. Szczyty sąsiednich Alp Julijskich tonęły w chmurach, tylko te najbliższe o wysokości nieprzekraczającej 1600 m n.p.m. prezentowały się w całej okazałości. Wypatrzyliśmy za to kolejne destynacje: Blegoš, Slatnik, Lajnar i Šavnik. Na północy wyłonił się też masyw Ratitovca, który może też kiedyś odwiedzimy. Przez chwilę, wystarczającą na zrobienie zdjęcia, ukazał się Snežnik z Gór Dynarskich, odwiedzony podczas pierwszego pobytu w Słowenii. Po zregenerowaniu sił ruszyliśmy w stronę schroniska, aby rozpocząć zejście trochę innym wariantem i nie wracać po własnych śladach. Podczas wejścia od wschodu – od strony dawnej Jugosławii – wypatrzyliśmy kilka innych stanowisk strzelniczych, a od strony zachodniej – dawnej włoskiej – wejście do nich. Nie omieszkaliśmy skorzystać, a pomogła nam przezorność. Dobrym zwyczajem jest zabieranie czołówek nawet na jednodniowe wypady. Zagłębiliśmy się w tunele szerokie na około 60 centymetrów, wysokie na około 2 metry, kolebkowo sklepione. Długość ciężko było oszacować, ale patrząc na mapę, można określić, że całkowita długość tuneli, prowadzących do trzech stanowisk strzelniczych, to mniej więcej 200 – 250 metrów. Schodziliśmy wśród krów i goryczek trojeściowych, a widoki na sąsiednie góry towarzyszyły nam już do końca dnia. Dopiero gdy wróciliśmy do Zakriža, udało nam się zobaczyć Porezen od dołu. Wyglądał imponująco. Rzuciliśmy też okiem na Blegoš – szczyt o łagodniejszym kształcie i bardziej oddalony, ale też zachęcający. Poznaliśmy dodatkowo cztery osiołki i dwa konie. Dowiedzieliśmy się o słoweńskim zwyczaju dawania mężczyznom w prezencie na pięćdziesiąte urodziny osiołków. Stąd, jeszcze kilka lat temu, dosyć powszechne były ich hodowle. Zwyczaj chyba powoli odchodzi w zapomnienie. Gospodarz pokazał nam też suszarkę do owoców w postaci osobnego budyneczku i piwniczkę z kadziami octu jabłkowego i dojrzewającego salami (nie oślego – przyjaciół się nie je) domowej roboty.

Tuż po wschodzie słońca zobaczyliśmy dolinę skąpaną w porannych mgłach. Słońce wschodziło prawie dokładnie zza Blegoša, na który się właśnie wybieraliśmy – jakby wskazywało nam cel. Pogoda była rewelacyjna, choć prognozy tego nie zapowiadały. Ponownie wjechaliśmy na przełęcz Tuškov Grič, i tym razem na niej zaparkowaliśmy. Ekipa remontująca drogę widziała już po raz czwarty samochód na obcych numerach jeżdżący tam i z powrotem. Ich wzrok mówił, że już nas rozpoznają i powoli przestają się dziwić. Rozpoczęliśmy podejście pod Črni Vrh. Najpierw droga wiodła przez las, żeby po kilkunastu minutach wyjść na bardziej otwarty teren stoków narciarskich. Idąc pod górę, w pewnym momencie odwróciliśmy się i zamarliśmy z wrażenia. Był to pierwszy (i jak się potem okazało jedyny) moment tych wakacji, kiedy zobaczyliśmy najwyższy szczyt Słowenii - Triglav, wyrastający ponad otaczające go alpejskie szczyty. Z tego miejsca mogliśmy też spojrzeć w kierunku północnym i północno-wschodnim na Karavanki i Alpy Kamnicko-Savinjskie, z charakterystycznymi sylwetkami Storžiča i Grintovca. Przejście do schroniska pod Blegošem nie jest szczególnie ciekawe – idzie się głównie lasem, grzbietem pozbawionym widoków i atrakcji. Jedynym ciekawym punktem był kolejny bunkier, tym ciekawszy, że skierowany przeciwnie do tych z Porezenu, bo będący częścią Linii Rupnika – umocnień granicznych, mających chronić Jugosławię podczas II wojny światowej. Ze względu na nadchodzące chmury, minęliśmy szybko schronisko, zatrzymując się tylko na kilka minut przy ruinach kolejnego bunkra. Później nie brakowało nam podobnych atrakcji, ponieważ cała kopuła szczytowa pokryta jest umocnieniami. Tymczasem bardzo chcieliśmy zdążyć na widoki ze szczytu, ale ciężko było wygrać z chmurami. Ostatecznie udało się to częściowo i zobaczyliśmy jeszcze majaczący na zachodzie Porezen, a na północy Ratitovec. Potem przyszły chmury. Zjedliśmy więc obiad, kryjąc się przed wiatrem w pozostałościach po bunkrze i zaczęliśmy schodzenie, tym razem prawie dokładnie po własnych śladach. Pogoda się popsuła, ale na szczęście tego dnia nie padało już do końca. Prognozy były jednak nie najlepsze, trzeba było wymyślić na kolejny dzień jakiś plan.

cdn.

Kinga Konieczny-Pizoń i Jasiek Pizoń

BLACHOWANI 2022

Marta Przybyłowska, blacha 419

Jej przygoda z górami zaczęła się od pierwszego wyjazdu w Bieszczady, żeby później rozwinąć się w odkrywanie różnorodności i piękna kolejnych części Beskidów, którym oddała całe serce, marząc o zostaniu w przyszłości przewodnikiem. Marzenie to spełniła i w zeszłym roku ukończyła kurs oraz zdała egzamin państwowy na przewodnika beskidzkiego. Jej codzienność nieustannie podzielona jest między Śląsk, gdzie przyjeżdża, żeby ruszyć dalej w góry, Beskidy, gdzie spędza każdą wolną chwilę, a Poznań, w którym na co dzień mieszka i studiuje. Uwielbia wędrować i odkrywać nowe szlaki, nie tylko te w górach, ale również te na nizinach. Niezależnie od tego, gdzie wędruje – najważniejsi są dla niej jednak ludzie, którzy jej towarzyszą i których spotyka po drodze.

TO BYŁO

✔ 08.04 w „Mrowisku" odbył się koncert charytatywny na rzecz Andrzeja „Szczepana" Starosolskiego (blacha 252) i jego córki Ani.
W koncercie wystąpili: Przemek Bielawa, zespół „Między Strunami", zespół „Sąsiedzi".
✔ 22.04 odbyło się **Walne Zebranie** SKPG „Harnasie".
✔ 6–8.05 Rajd Wiosenny z metą na Hali Górowej

TO BĘDZIE

❋ 28–29.05 w PTSM w Soblówce odbędzie się Kwadratlon organizowany przez nasze Koło.
❋ **21–23.10.2022** w OW Niagara w Międzybrodziu Żywieckim odbędzie się **55-lecie SKPG „Harnasie"**.
Komitet Organizacyjny 55-lecia:

Anna Pasek „Paskuda"
Dagmara Góralska-Zaczek
Ala Nakonieczny
Ewa Szabelska
Kinga Konieczny-Pizoń
Michał Wieczorek
Sebastian Lenartowicz
Jacek Przyłucki
Robert Zaczek